



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Ach, żebyście też wiedzieli, jak się tu pisać nie chce!...

— Tu—to znaczy bardzo wysoko nad wami, bardzo daleko od Warszawy, wśród opok i jarów, wśród śniegiem pokrytych gór i ciemno-zielonych lasów, wśród szumiących, wiecznie zirytowanych i spienionych potoków,— tu, w Tatrach...

Siedzę sobie, jak u Pana Boga na kolanach, w uroczem Zakopanem i odświeżam głowę, oddecham powietrzem, które, sprowadzane w balonach do Warszawy, wartoby kupować na wagę złota; patrzę na góry i dziwuję się tym skamieniałym fantazjom Bożym, łączę po wirachach i czasem mi się zdaje, że gdybym wdrapał się jeszcze kruszynę wyżej, to mógłbym ręką sięgnąć do klamki u drzwi prowadzących do nieba. Wierzajcie mi, że pisać tutaj felieton, czy korespondencją, czy cokolwiek dla druku, to zaparcie się i poświęcenie...

Szkoda mi każdej chwili straconej nad stolikiem, gdy słońce złotem, srebrem, szmaragdami i turkusami wysadza świat cały dokoła i w najpiękniejsze barwy stroi góry i doliny tatrzańskie; gdy wspaniały, żywy poemat rozciąga się przed moimi oczyma i, żeby człowiek był kozłem na tych skałach, to wśród takiego otoczenia musiałby chyba wierszami beczuć, jak utrzymuje jeden z moich humorystycznych przyjaciół i entuzjastów tatrzańskich.

Siedzieć w takich warunkach i przymuszać się do obowiązkowego pisania na termin, to... godne waszego uznania—nieprawdaż?

Chyba że słońce zakatarzone, z fluxyą od wilgoci, z kwaśną, skrzywioną miną, zawinie się

w szary pled i włóczkowy szlak chmur, a całe niebo zamoknie, jak bibuła, a cała ziemia otuli się mgłami, niby *waterproofem*; wtedy niema nic lepszego do roboty, jeno zamknąć się w izdebce podobnej do sosnowego pudełka, mchem wystanego, napalić w piecu, aby od zimna ręce nie grabiwały, wziąć papier, pióro i atrament i w serdaku na plecach pisać przy stoliku. Nic nudniejszego i nie przykrzejszego nad niepogodę w górach!

Bądźcie spokojni: ja się tak bardzo nie poświacam, pisząc niniejszy felieton; piszę go podczas śloty; na górach śniegi, na drodze błoto, deszcz chlupie za oknami i bębni po dachu od północy, światła Bożego nie widać. Inaczej, kto wie, czy przy całym poczuciu obowiązków *Bluszczonego* kronikarza, nie opóźniłbym tej pogawędki.

Szaradne to „miłościwe lato“ w tym roku; ze wszech stron słyhać narzekania, skargi i jęki. Burze i deszcze psują plon na polach, przeszkadzają żniwom, opóźniają uprawę roli, czynią spustoszenia, odbierają ludziom zdrowie i mienie. Skutkiem strasznych klęsk, trąb powietrznych i gradów mnóstwo podań o ulgi we wnoszeniu rat napłynęło do dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego; jest ich podobno tak dużo, że radzcom obowiązany lustrować nawiedzony majątki nawet czasu nie starczy na sprawdzenie zażaleń wszystkich dłużników.

Tutaj w górach, a zwłaszcza w Zakopanem, słotne, zimowe lato daje się uczuć dotkliwie; liczba gości przyjezdnych zmalała, czemu trudno się dziwić. Najwyżej 2.000 osób wogóle skorzysta z tutejszej wspaniałej villegiatury do końca Września, to znaczy, że jedna trzecia zwykłych Taterników, korzystających z uroków zakopiańskiej doliny ubyla. To krzywda dla Zakopanego i krzywda dla jego wielbicieli. Dużo się tu zmieniło na korzyść, odkąd powstało Towarzystwo Tarzańskie i Zakopane na stacyą kli-

matyczną wywawsowało. Przybyło wiele domków, wiele pięknych willi prywatnych, stanęły schroniska, nie potrzeba już nocować pod gołym niebem, lub pod szafasami na wycieczkach, na nagiem, choć cudownem, łonie natury. Drogi tylko pozostały fatalne i kto nie może dowierzać własnym pedalom, ten niechaj lepiej nie puszcza się góralską budką, nawet po tak zwanym gościńcu, bo duszę z siebie wytrzęsie.

Kto zwiedzał Alpy, podróżował po Szwajcaryi, Tyrolu, Apeninach, ten dużo jeszcze braków tu uczuje; ale kto przed dziesięcioma laty ostatni raz przelazł przez Rysi i u stóp Mięgoszowieckiej rozkoszował się widokiem Morskiego Oka i Czarnego Stawu, poprzestając na postaniu z kosodrzewiny podczas chłodnych nocy, a posilał się wódką i chlebem przyniesionym w torbie przewodnika, ten znajdzie postęp niemały. mogąc zjeść smacznie w Schronisku Towarzystwa Tatrzańkiego i przespąć się pod dachem, na łóżku arcy-pierwotnej formy.

Niema tu jeszcze wygodnych hoteli szwajcarskich, niema kolei żelaznych, jak na Rigi, niema usługi we frakach i dzwonków elektrycznych; ale z czasem może się to wszystko znaleźć —dzisiaj już jest lepiej, niż było.

Trzeba być wszelako prawdziwym i wielkim wielbicielem przyrody, aby dla jej widoków znosić jeszcze dzisiejsze trudy wycieczek w Tatrach, jeżeli się jest wygodnym mieszczuchem i nie umie obywać się bez komfortu, bez ułatwionej komunikacji i wielkomięjskich przyzwyczajzeń.

Samo Zakopane natomiast cywilizuje się i podnosi; w ostatnich czasach stało się ono ulubionem miejscem schadzek corocznych dla inteligencji polskiej. Literatura, sztuka, dziennikarstwo bardzo silnie bywają tu reprezentowane; zewsząd ściągają tu na wypoczynek celniejsze umysły; rozstrojone nerwy artystów, komedjopisarzów, redaktorów i wszystkiego, co się pod-

ciąga pod ogólną kategorią *irritable genus*, nabierają tu znowu sprężystości.

Największy śledziennik po jakimś czasie musi się uśmiechnąć do świata i ludzi i powiedzieć sobie w Zakopanem, jak margrabia Posa w „Don Carlosie”: *Das Leben ist doch schön!*... tylko niechaj unika kassyna, które się tu nazywa Dworcem Towarzystwa Tatrzańskiego, a w którym pokutuje duch wielkomięski, zakłęty przez tych wszystkich wędrownych filistrów, co-to nie mogą nawet w Tatrach, nawet w obliczu wspaniałej przyrody, pozbyć się swoich resursowych przyzwyczajęń, gustów i małostek, z miejskiego bruku stolic zabranych w góry.

Tu rzuci się na niego cychający członek komitetu koncertowego, który poluje na każdy talent, przybywający do Zakopanego i próbuje go wyexploatować; tu wpływa dama, uprawiająca filantropią na villigiatrze, wciśnie mu gwałtem jeden dwa, trzy tuziny biletów na widowisko przez siebie urządzone; tu paczka tarokistów lub prefersistów zaciągnie go „na czwartego” lub na samym progu spotkania go płaszające jakieś bóstwo, które przy „wybieraniu” w mazurze szuka dorodnego tancerza i każe mu wycinać hołubce, choćby mu nogi ze zmęczenia odpadały.

Nie, kassyna niechaj unika, jeśli chce wywieźć z atmosfery miejskiej i zapomnieć na kilka tygodni o banalności towarzyskich stosunków salonu, który na tem tle majestatycznej natury wydaje się śmiesznym kontrastem.

Wszystkie rauty, koncerty, reuniony, przedstawienia amatorskie i zabawy, urządzone tu niby dla rozrywki i uprzyjemnienia czasu, psują tylko harmonią i uludę tego innego świata, w którym cisza, spokój, poezja przyrody, podniosłość wrażeń w bezpośrednim z nią zetknięciu wypełniają dostatecznie czas krótkiego pobytu dla człowieka, szukającego wypoczynku w górach.

W przeciągu dwóch tygodni przeżyłem tu trzy koncerty, kiermasz z pantomimą, kilka reunionów, przedstawienie amatorskie i zabawę dla dzieci—zupełnie jak podczas warszawskiego karnawału.

Wszystko to miało swoje specjalne i szlachetne cele, to prawda, ale wolałbym je popierać na innym miejscu, w innej porze i w odmiennych warunkach.

Najwłaściwszym i najpiękniejszym „stafażem” tutejszych krajobrazów jest lud; ten góral w serdaku, w białych, zwęgierska wyszywanych pantalonach sukiennych, w łapciach na nogach, w kapeluszu, jak grzyb na głowie, z ciupażką w ręku,—nie razi, przeciwnie, ma w sobie coś malowniczego, jest jakby uzupełnieniem pięknej całości; on tu na swoim miejscu.

Dawno już przede mną zauważono, że mężczyźni mają w Tatrach piękniejsze rysy od kobiet i stanowią pod względem estetycznym typ o wiele przyjemniejszy. W oczach tyle wrodzonej inteligencji, rozumu, sprytu i pogody!—a częste obcowanie z oświeconymi ludźmi nadało góralom gładsze formy.

— Czy nie uważasz pan — mówiła mi jedna z towarzyszek wycieczki do Morskiego Oka— jak tu wszystko przypomina „Halke” na scenie? Te góry, jak dekoracje, ci górale, jak z baletu. Zdaje mi się, jakby nas podczas antraktu wpuszczono za kulisy i pozwolono zmieszać się z chórzystami i solistami; czekam tylko, jak la-da chwila ozwie się dzwonek, wyproszą nas ze sceny, orkiestra da hasło i jakiś Myszuga zacznie śpiewać najpiękniejszym tenorem: „Szumią jodły na gór szczyty”, a Dobiecka, „Jako od wichru krzew połamany” pójdzie topić się w którym z tych potoków.

Rzeczywiście, tak to wygląda, chociaż żaden teatralny efekt, z meiningenską nawet sceneryą, nie da takiego wrażenia, jak ta żywa natura.

Obok inteligencji dziwny zasób zdolności kryje się w tym ludzie; dość zwiedzić dwie tutejsze szkoły rzemieślniczą i snycerską i szkołę koronkarską. Pierwsza zakrawa trochę już na „akademię ludową”, w której uczą anatomii i geometrii wykreslonej. Widziałem tu rysunki od ręki i rysunki konstrukcyjne uczniów: w podziw mnie wprawiły. Jeden z chłopaków, wezwany przez profesora wymienił bez zająknięcia wszystkie mięśnie w koń-

czynach ludzkich, popolsku i poniemiecku, jak-gdyby doniedawna jeszcze owiec nie pasał, ale był studentem medycznego fakultetu w Wiedniu lub Krakowie.

Nazywa się on pięknie, jak najwspanialsza góra w Zakopanem: Giewont, i będzie rzeźbiarzem niepospolitym, jeśli mu ułatwią dalsze studia w jakiej Akademii Sztuk Pięknych. Obecnie pracuje nad wykończeniem biustu zacnego ks. Stolarczyka, proboszcza tutejszego, który nad umoralnieniem i oświatą górali całe życie pracował ze świetnymi rezultatami.

Takich Giewontów jest tu więcej pomiędzy osmdziesięcioma uczniami.

Zarzącano dotychczasowym wyrobom zakopiańskim, uznawanym na rozmaitych wystawach w ciągu dziewięcioletniego istnienia szkoły rzemieślniczej, że nie mają właściwego stylu i charakteru góralskiego, że się wzorują na obcych modelach i motywach. Obecnie i pod tym względem uczyniono znaczny postęp; widziałem całe umeblowanie stołowego pokoju dla hr. Artura Potockiego w Krzeszowie, wykonane już stylowo, z ozdobami według rysunku i motywów miejscowych, projektowane do spółki przez profesorów i uczniów szkoły zakopiańskiej. Oryginalne to w swoim rodzaju i przesłizne.

Zeszłej zimy zawiązano tu orkiestrę włościańską i szkołę muzyki dla górali. Dwunastu ich przygrywa już na rozmaitych dętych instrumentach w kościele podczas nabożeństwa, a grają zgodniej i czystiej, niż kościelna kapela i chóry w niejednej warszawskiej świątyni, przeciw którym słusznie wystąpił ktoś w *Kuryerze Codziennym*, domagając się reformy owych amatorskich popisów na chwałę Bożą.

Kościółek tutejszy za mały dla tych trębaczy i puzonistów; drewniany, stary, wysłużył się już Bogu i ludziom. Wznoszą też obecnie drugi, z kamienia, ale brak funduszy przewleka budowę z roku na rok wedle tego, jak napływają ofiary. Obecnie przybył niespodzianie znaczny zasilek; bawił tu schorowany aptekarz z Tarnopola w Galicji, p. Jamrógiewicz, człowiek bogaty; zmuszony był poddać się ciężkiej operacji żołądka, przed którą zrobił testament i na wypadek śmierci zapisał 10.000 guldenów na dalszą budowę kościoła w Zakopanem.

Operacja się udała, jak to zwykle bywa; chory nie umarł pod nożem, ale wyzionął ducha w parę dni później. Jego mogiła podniesie teraz kościół przynajmniej pod sam dach.

Ostatnie czasy jakoś obfitowały w piękne uczynki tego rodzaju. Z dzienników warszawskich dowiaduję się, że jakiś nieznany dobroczyńca zamierza ofiarować 200.000 rs. na przytulisko dla zubożałej inteligencji, potrzebującej tak często u nas pomocy i ratunku w chwilach cięższych, na starość, lub podczas choroby i niemożności zarobku.

Duch św., który jest patronem inteligencji, musiał nawiedzić tego poczciwego człowieka i podszeptać mu zacną myśl takiego zapisu, ale wyczekując na instytucję (niech jej fundatorowi Bóg da żyć jeszcze jak najdłuższe lata!...), która powstanie z filantropii, mogłaby nasza inteligencja, postarać się także sama o położenie własnymi rękoma podwaliny pod ten gmach, ofiarą i dobrą wolą jednostki stawiany.

Wyznaję, że wzruszył mnie zapis ś. p. Spornego, który cały swój ciężko zapracowany majątek, w kwocie jakichś 60.000 rs., przeznaczył, po ustaniu dożywocia dla wdowy, na założenie ogrodu, w którymby na jego pamiątkę postawiono najskromniejszy pomnik w kształcie... jednego drzewka, zasadzonego wśród innych. Spadkobiercą i wykonawcą ostatniej woli zmarłego, w której niezwykle w tych czasach przebija się odcień idealizmu, jest Towarzystwo Ogrodnicze. Prof. Aleksandrowicz i p. Edmund Jankowski, zaszczytnie znany redaktor *Ogrodnika Polskiego*, mają się na żądanie nieboszczyka zająć wykonaniem testamentu.

Przybędzie tedy Warszawie nowy ogród, w którym szum drzew, świegot ptasząt i zapach kwiatów przypominać ma nazwisko zacnego fundato-

ra. Trudno było wybrać sobie piękniejszy i pożyteczniejszy pomnik po śmierci!...

Wspomnieć winienem jeszcze o jednym zapisie, który rozwiązuje znowu jedną z kwestyi wielkiej wagi społecznej i pedagogicznej. Mamy nową instytucję dobroczynną, dzięki ofiarności br. Lenwałów; przy Ulicy Litewskiej powstał z ich fundacji „Warszawski dom schronienia dla sierot po robotnikach,” którzy pracowali w tutejszych fabrykach. Dzieci przyjmowane będą pomiędzy 6-ym a 10-ym rokiem życia; uznane za bezwarunkowo zdrowe, do skończonych lat sześciu pobierać będą na koszt instytucji naukę w szkołach elementarnych i rzemieślniczych, a potem zacząć pracować same na własne utrzymanie.

Zakład pozostaje pod zarządem ministerium spraw wewnętrznych i pod nadzorem warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej, a na wypadek zwinienia z jakichkolwiek powodów, cały jego majątek ruchomy i nieruchomy, wartości około 100 000 rs., przejść ma na własność Towarzystwa Dobroczynności.

Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

Jeden z fundatorów „Domu schronienia” dotknięty jest najstraszniejszym kalectwem, jakie człowieka dotknąć może: utracił wzrok i nie widzi.

Gdybyśmy żyli jeszcze w epoce cudów, br. Lenwał za czyn tak szlachetny powinienby przejrzeć, aby mógł cieszyć się widokiem swojego dzieła i mieć na stare lata pociechę zobaczenia tego, co stworzył...

Powiększyła się nietylko moralna hipoteka Warszawy, ale i materialna jej wartość przez wybudowanie nowego schronienia. Według statystycznych obliczeń, gród syreni liczy obecnie 5.416 possessyi, które przedstawiają na gotówkę sumę trzystu dwudziestu milionów rubli.

Połowa tych nieruchomości jest obdłużoną, a właściciele płacą wierzycielom swoim przeszło jedenaście milionów rubli procentu rocznie, to znaczy prawie połowę swoich dochodów brutto. To wymowne!...

Im bardziej przyglądam się tego rodzaju liczbom, tem żywszą wdzięczność czuję dla losów, że mi nie dały ani ziemi, ani kamienicy, ani jednej hipoteki, którąbym musiał obciążać z roku na rok i kłopotać się nieustannie nad wynalezieniem środków przytrzymywania tego, coby mi się ciągle z rąk wysuwało.

Nie żądajcie ode mnie, abym się rozwodził nad tym tematem; przypominam, że jestem kronikarzem na urlopie i używam wypoczynku; przewietrzam głowę i nastrajam do normalnego kamertonu moje nerwy.

Zresztą wiem obecnie mniej od Was, siedząc tu w górach i komunikując się z Warszawą jedynie za pośrednictwem dziennikarskiej bibuły, która tu wyborne usługi oddaje do zawijania serków i butersznytów, zabieranych na wycieczki.

Wczoraj na Czerwonym Wierchu, rzuciłem okiem na artykuł o „szkole dla sług,” którą ktoś zamierza założyć w Warszawie na wzór podobnych instytucji w Szwecji. W przeciągu 3 — 6 miesięcy nasze Kasie i Marysie będą się mogły nauczyć gotowania, prania, prasowania, froterowania i t. d., za opłatą, trochę za słoną, 50 rs. od uczennicy.

Mój Boże, żebym wiedział, że to prawda, powróciłbym dopiero za pół roku do Warszawy, aby moja Maryanna wykształciła lepiej swoje kulinarne zdolności i nauczyła się lepiej zamiatać i kurze ścierać, ryzykując już opłatę za nią z własnej kieszeni.

Gwałtu! Niechże ten dobroczyńca jaknajrychlej swój projekt urzeczywistni i przyczyni się do rozwiązania kwestyi „naszych sług,” która nam, chlebobdawcom, dogryza bardziej, niż tutaj owe czarne, żarłoczne stworzenie po schroniskach na noclegu, które muszą być małemi niedźwiadkami, chociaż zaliczają się do innej kategorii zoologicznej.

Oho, słońce z za chmur błyskać zaczyna, wypogadza się i góry zdejmują bawełniane szlafmyce z czubków—będzie pogodnie!...

Wybaczenie, że odkładam pióro i przerywam

gawędę, ale Tatry mają stokroć więcej do powiedzenia, niż ja wam, najlaskawsi.

Niebawem powrócę na bruk warszawski a wtedy będę już niepodzielnie na wasze i *Bluszczu* usługi.

— Ostańcie zdrowi! — jak powiadają górale; Idę wspinać się na skały po świeże szarotki i nowe widoki.

Quis.

Z Danta „Boskiej komedyi,“ Z pieśni V-ej.

FRANCESCA

przekład

J. K. Ehrenberga.

„Mistrzu mój—rzekłem—kto są te dwa cienie
Lekkim powietrza podmuchem pędzone?“
Mistrz mój mi wtedy nakazał milczenie.

„Czekaj—rzekł do mnie — aż się w naszą stronę
Więcej przybliżą.— Zaklnij je na miłość,
Którą związane: dowiesz się, kto one.“

Ledwie zrozumiał stów mistrza zawiołość,
Spostrzegłem zbliżka dwie postacie smutne;
Znaczna je jakaś łączyła zażyłość.

Losy im były snadź dziwnie okrutne:
Bowiem ku sobie pochylały głowy.
Tęschnemi skargi i jękiem rozrzutne.

Takiemi do nich przemówiłem słowa:
„Wy, co cierpicie! Jeżeli wam wolno
Pomówić z nami...“i byłem gotowy

Już się zapytać, ciekawość swawolną
Chcąc zaspokoić. Jak dwie gołębicę,
Znużone biegiem i drogą powolną,

Gdy gniazdo ujrzą, w znane okolice
Prędzej już biegną, nie czując znużenia;
Tak i te cienie, oba bladolice,

Zwróciły ku mnie dwa smutne spojrzenia,
Pomknęły szybko mym głosem zwabione,
(Głosem, co ludzi przypominał z brzmienia)

I przyleciały prędko w naszą stronę.
Jeden przemówił dźwięczną, słodką mową:
„Ty, co widziałeś krwią naszą zbroczone

„Miejsca na ziemi, jak litosne słowo
Rzekłeś nieszczęsnym! Gdyby Pan na niebie
Raczył słuch karmić modlitw mych osnową,

„Modliłabym się do niego za ciebie...
Ty jeden naszym użalasz się losom!
O co chcesz pytać, w jakiejbądź potrzebie:

„Jeśli wiatr naszym nie przeszkodzi głosem,
Powiemy, cośmy przeżyli na ziemi,
Która się dla nas równała niebiosom.

„Tam mam ojczyznę, gdzie wody ciemnymi
Po się wylewa do morskiej zatoki.—
Miłość, co w sercach szlachetnych się plami

„Zawsze najbujniej, swojemi uroki
Tego młodzieńca tak oczarowała,
Że chociaż dzisiaj—okrutne wyroki!—

„Pełnego wdzięków ja już nie mam ciała,
Które on kochał, wciąż jesteśmy razem...
Miłość, co żąda wzajemności, chciała,

„Bym, za wszechwładnym jej idąc rozkazem,
Pragnieniom tego uległa człowieka;
Miłość nas jednym złączyła żelazem...

„Tam bratobójczy Kain niżej czeka.“
Te były słowa jednego z dwóch cieni.
Łzami się moja zrosiła powieka,

Gdym na nich patrzył, jak nierozłączeni
Stali przedemną: pochylałem głowę
I długom milczał; aż w tem ktoś wymieni

Nazwisko moje; mistrza słyszę mowę:
„O czem tak myślisz?“—Rzekłem ze łzą w oku:
„Niestety!—jakież marzenia tęczowe

„Musiały popchnąć ich do tego kroku!“
A potem do nich wyrzekłem boleśnie:
„Płaczę nad treścią waszego wyroku.

„I takim dumał, jakgdybym był we śnie;
Własne mnie moje zbudziły westchnienia...
Lecz w jaki sposób mogliście tak wcześniej

„Poznać niepewne waszych serc pragnienia?
Powiedźcie mi to, jeżeli możecie.“
Na to Francesca budzi się z milczenia:

„Boleści niema większej na tym świecie,
Jak przypominać sobie dni szczęśliwe
Pośród ogromu nieszczęść, co nas gniecie.

„Mistrz twój wie dobrze, jak to jest prawdziwe;
Jeśli chcesz jednak dowiedzieć się o tem,
Jak się zbliżyły nasze serca tkliwe:

„Opowiem wszystko, lecz nie dziw się potem,
Że będę łzami rwać wątek powieści...
Wszak znasz Ginevry miłość z Lancelotem?

„Książkę tej właśnie czytaliśmy treści;
Byliśmy sami: ja i mój wybrany.
Lecz wzrok niezawsze na książce się mieści...

„Często się spotka i cofnie zmęczony...
Jeden tam ustęp dał wyrok nad nami,
Gdzie opisane, jak uśmiech kochanej

„Lancelot pokryć miał pocałunkami...
Gdyśmy się wtedy na siebie spojrzeli,
Jego się usta z mojami ustami

„Spoiły, drżąc naprzód, potem śmieiej...
Książka i pisarz były Galeotem...
Jużesmy czytać dnia tego nie chcieli!“

Gdy tak cień jeden opowiadał o tem,
Cień drugi jęczał w sposób tak straszliwy,
Żem patrząc na to, żegnał się z żywotem;
Padłem na ziemię jakgdyby nieżywy.

ZE SPUŚCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Rzućmy okiem na olbrzymią drogę, jaką przebiegł ten poeta genialny, i starajmy się w krót-

kich słowach zaznaczyć wytyczne jej punkta. Po „Odach i balladach“, w których, zostawiwszy na boku poglądy polityczne i religijne, znajdziemy pod względem artystycznym i estetycznym, *in nuce* całego Wiktora Hugo—z późniejszą jego manierą antytez, nieporównaną biegleścią rytmu i rymu i bogactwem niesłychanem słownika poetyckiego; oraz po „Pieśniach Wschodu“, które muszą być zaliczone do najsmielszych pomników formy, w których nieznaną granic wyobraźnia poety olśniewa, oślepią nas poprostu jaskrawością kolorytu i potęgą obrazowania, w których wiersz dzwoni i grzmi, śpiewa i huczy, a strofy rozwijają się jedna po drugiej, jak nieskończony, różnobarwnych wzorów kobierzec perski,—po tych dwóch pierwszych dziełach, gdzie duch poety szukał swej drogi i, przewyciężając z góry wszelkie zawady formalne, gotował się do niej niejako, stajemy przed jedną z najpiękniejszych w literaturze całego świata ksiąg lirycznych, która, wraz z powieścią „Katedra Najświętszej Panny Paryzkiej“ tak ujęła dla autora serca czytelników, że cały szereg wybitnych duchów uważał dwa te dzieła za najwyższy wytwór jego geniuszu i, rozkochawszy się w nich całą duszą, nie decydował się oddać pierwszeństwa wyszłym później, a istotnie na pierwszeństwo zasługującym „Kontemplacyom“ i „Nędznikom.“

Książka ta—to „Liście jesienne“, a „Liście jesienne“—to całe, wielkie *serce* poety. „Otwórz ten zbiorek — powiada jeden ze sprawozdawców, a jeśliś kiedy kochał, marzył, był ojcem, wszystkim jedno—czyś w sile wieku, czy starcem, jeśliś miał, lub jeśli masz dotąd serce, z pewnością zadrzysz i wybierzesz odtąd, autora „Liści jesiennych“ za poetę całego życia swego. Jest to szczyt najczystszej uczuciowej, serdecznej liryki, zwierciadło cichej, gładkiej, ładnymi niepokojącymi refleksjami niezmaconej toni duchowej, cudny pamiętnik spokojnego, jasnego życia, którego punktem ciężkości jest ognisko domowe i szczęście rodzinne.

Ale życie wyższe, publiczne, ma swe prawa. Burzliwe jego echa sięgają aż do zacisza poety i gęste żłobią zmarszczki na jego pogodnym dotąd czole. Poczyna on uważać za egoizm rozkoszowanie się spokojem i ciszą wśród swoich najdroższych i kończy „Liście jesienne“ wymowną refleksją: — „Oh, poezja coś winna i ludom bezbronnym. Zapominam (patrząc na nie) o miłości, o rodzinie, o dzieciach, porzucam miękkie pieśni i pogodny spoczynek i nawiązuję na swej lirze strunę spiżową! Odtąd w liryce wielkiego poety daje się spostrzegać coraz większa domieszka refleksyi; czysto uczuciowy liryzm rzadko już spotykamy. Pomijamy, będące jakby przygotowaniem do szerszych widoków, do głębin zawrotniejszych, „Pieśni zmierzchu“, książkę przejściową, pełną zmroku jakiegoś tajemniczego, oczekiwania, rozmyślań nieco deklamacyjnych, a głośzących serdeczne dźwięki harfy różninnego szczęścia,—i stajemy znowu przed „Głosami wewnętrznymi.“ Szczyt to drugi. Mamy tu całą *duszę* poety. Wszystkie tony „Liści jesiennych“, ale głębsze jakieś, bardziej duchowe, zabarwione, dzięki refleksyi, tym tajemniczym odcieniem, jaki strunom nadaje surdynka, a obok nich inne jeszcze dźwięki, jakich tam nie znajdowaliśmy. Potrójną tu gęźbą gra serce, dusza i życie; z ech życia rodzinnego, przyrody i życia publicznego tka poeta swe pieśni i refleksye. Głębia tu, spokój, poezja, najsubtelniejsza treść duszy autora. Krok ztąd tylko do „Kontemplacyi.“ Pomijamy też—znowu „Światła i cienie“—będące, według słusznej uwagi samego autora w przedmowie, dalszym ciągiem cyklów poprzednich, z tą jedynie różnicą, że horyzont ich jest większy, niebo błękitniejsze, spokój głębszy; pomijamy „Kary“ i późniejszy „Rok straszny“, te imponujące pomniki poezji politycznej, w których Hugo potężnie, jak nikt przed nim ani po nim, szarpnął ową nawiązaną na lutni strunę spiżową, lecz w których tendencya, szkodziąca zawsze czystości dzieła sztuki, zawiele rdzy zostawiła; pomijamy wreszcie „Pieśni ulic i lasów“, ten dźwięk fletni pasterskiej wśród straszliwych fanfar poezji politycznej, tę wiosnę nagle rozkwieconą na skro-

niach wulkanu, tę wyspę zaczarowaną wśród rozrukanych wałów morskich, ten arcytwór, nakońc, doskonałej formy, — i skupiamy całą uwagę na „Kontemplacjach“ i „Legendzie Wieków“ dwóch najwyższych objawach lirycznego i epicznego geniuszu poety. „Kontemplacje“ to głębokie, ciche wody, w których przegląda się dusza; to kronika życia wewnętrznego — nie tylko samego poety, lecz każdego prawie człowieka. Boć każdy zaczyna od jutrenki, gdzie wszystko uśmiecha się szczęściem i nadzieją; każdy ma przez czas jakiś „duszę w kwiecie“, gdy kocha; każdy ma swe marzenia i walki; każdy spotyka na drodze życia groby swych ukochanych; każdy spostrzega wybrzeże opuszczenia beznadziejnego, zawodów i goryczy; każdy rzuca kotwicę u brzegu nieskończoności i zatapia się w dumach o marności wszytkiego, o grobie, o śmierci. „Kontemplacje“ obejmują całą tę drabinę żywota i są — już z treści samej, do której zresztą dołącza się dawna, szczytów doskonałości sięgająca, wielostronna barwa, olśniewająca, elastyczna forma — jedną z największych, najwspanialszych ksiązek poetyckich XIX wieku. Ze osobistość poety przemaga w nich, rozumie się to samo przez się; wysnuwa się ona ciągle naprzód, ale czujemy zawrotne jej głębiny i, nie godząc się nawet w końcu z marzeniami mistyczno-gnostycznymi w poemacie „Co mówią usta cieniów“, Oslupiamy przed tą śmiałością lotu, przed bogactwem i oryginalnością obrazów, przed siłą i głębią uczucia. Mało jest ksiązek lirycznych, które mogłyby człowiekowi towarzyszyć w życiu, ale „Kontemplacje“ są jedną z nich, na każde drgnienie duszy znajdziemy tam strunę.

„Legenda wieków“ jest znowu jedną w swoim rodzaju i pamiętną w dziejach poezji ksiązka epiczna. „Rozwój rodzaju ludzkiego ze stulecia na stulecie, człowiek wstępujący z ciemności ku ideałowi, przemienienie w raj piekła ziemskiego, wykwit powolny, ale najwyższy, wolności, prawo do tego życia, odpowiedzialność za inne; jakiś rodzaj hymnu religijnego o tysiącu strof, mającego wiarę za podstawę, a modlitwę za szczyt; dramat stworzenia, rozjaśniony obliczem Stworcy — oto czym będzie, po ukończeniu go, ten poemat — całości, jeśli zezwoli Bóg, władca istnień ludzkich.“

Taki wielki, taki niemożliwy poprostu dla śmiertelnika, programat zakreślał swemu dziełu sam Wiktor Hugo — i, jak każdy z poprzedników jego w tego rodzaju zapędach, runął; stworzył fragment kolosalny, dał nam fresk olbrzymi, ale niedokończony, przybity gwiazd gwoździemi do nieskończonych ram przestrzeni, — Babel wypadków, wir postaci, kłęb walczących duchów ze wszystkich wieków i narodów, mieszaninę ogromną barbarzyństwa i cywilizacji, hymn przerywany orgiami, pienia Cherubinów, przy wtórze westchnień i klątw piekielnych, wielką trenody stworzenia i stworzeń — ale zawsze tylko fragment, bo ludzkość cała jest do dzisiaj ułomkiem, a epopeję pisać można tylko o rzeczach skończonych, zamkniętych absolutnie. Ale, jeśli w całości ksiązka ta jest masą bezładną, chaosem zaspany gralem z pra-wieku, kawałem oceanu — że użyję tego porównania — za to, co za mistrzowskiem dziełem w całości i w szczegółach jest każdy oddzielny jej ustęp, co to za poezja silna, soczysta, pełna, wspaniała — cykl arcydzieł, uzupełniony jednym z najsmielszych marzeń poetyckich, jakim jest sam pomysł „Legendy wieków.“ Książka ta stanowi, razem z „Kontemplacjami“ dwa najwyższe może szczyty w poezji wieszczki francuzkiego. Po nich jeden już tylko wierzchołek, ale godnie koronujący całą znałą za życia poety jego działalność, zwróci naszą uwagę. Zostawimy mianowicie na boku miluchną idyllę, która nosi nazwę „Sztuka bydz dlaadkiem.“ oraz cztery potężne i głębokie poemata dydaktyczne: „Papieża,“ „Litość najwyższa,“ „Religię i religię“ i „Osła,“ aby uchylić głowy przed wspaniałem, cudownym arcydziełem (słowa Pawła de Saint-Victora), jakim są „Cztery wichry ducha,“ a zwłaszcza część ich liryczna, uzupełniająca „Kontemplacje“ najpiękniejszymi, jakie tylko można sobie wyobrazić, pieśniami, opisami i medytacjami.

Przeglądając się tej olbrzymiej drodze, jaką przebiegł duch poety, jeden z krytyków literackich pisał na wieść o jego zgonie: „Śmierć nie miała właściwie z Wiktorem Hugo wielkiej roboty. Wzięła tylko zewłok martwy, wzięła odzież cielesną, wzięła poczwarkę, z kąd już uprzednio w kształtach piękna doskonałego wleciał, jak Proteusz, przemian pełny, zwycięzki, twórczy duch. Gdyby wielkiemu starcowi sądzone było żyć jeszcze pięć czy dziesięć lat dłużej, przypuszczam, że w niczem-by to już nie wpłynęło na jego znaczenie. Szereg dzieł jego już zamknięty.“ A w innym miejscu: „Zachodzi wielkie słońce na widnokręgu życia duchowego. Pozostanie nam wprawdzie dość gwiazd pierwszej wielkości, ale ten, który był głową schyłku stulecia, nie owzie się już swym śpiewnym a wieszczym głosem wśród wrzawy powszedniego, pełnego trosk i bólów życia.“

Zdania te, wbrew pozorze ich słuszności, w danym razie okazały się mylnymi. Słońce zgasało, ale promienie jego do dziś uderzają olśnionie oczy nasze; poeta legł w grobie, ale „śpiewny a wieszcz głós“ jego wciąż jeszcze pieści uszy nasze i długo — oile wnosić można z wieści o niesłychanie bogatej spuściznie pośmiertnej — pieści je będzie. A pośmiertne żniwo to przynosi nam, nie przyciszona echa tylko, nie blednące promienie, nie remanenta małej wartości, których poeta sam nie chciał drukować, a które spadkobiercy ze zbytym pietyzmem z pyłu zapomnienia wydobywają; przeciwnie, głos poety w pogrobowcach tych — oprócz nielicznych wyjątków — z całą najlepszych chwil brzmi potęgą, światł. myśli i barwy obrazów olśniewają nasze oczy, stoimy wobec utworów, świadczących, że szereg dzieł poety bynajmniej za życia jego nie był zamknięty, dających nam rzeczy nowe a wielkie i uzupełniających godnie całą poprzednią twórczość zmarłego wieszka. Całą ową spuścizną pośmiertną, puszczaną w świat powoli, mniej więcej po dwa tomy rocznie, pod ogólnym tytułem „Niewydanych dzieł W. Hugo,“ podzielić-by można na dwie wielkie, zasadniczo różniące się grupy. Do pierwszej zaliczylibyśmy ksiązki złożone, skonstruowane przez wydawców spadkobierców z bezładnych materiałów, notat i papierów, jakich całe skrzynie dostały im się po śmierci poety. Wiktor Hugo pisał bardzo wiele, zarówno wierszem, jak prozą; jego „tysiącogłosa dusza“ była istotnie rozdzwięcznem echem wszystkiego, a drgnienia jej, rzucane przez poetę w gorące twórczej na papier, utworzyły z czasem te stosy drogocennych „szpargałów,“ z których sam autor użytku już zrobić nie zdążył, a z których teraz spadkobiercy — układając, klasyfikując i nadając tytuły zgrupowanym całościom — tworzą i wydają ksiązki, szeregi ksiązek, przypominających światu stale, co pewien czas, sławne imię i potężnego ducha wielkiego zmarłego — przypominających wszakże tylko, ale niedających mu prawa do zbyt surowej krytyki, bo autor za ksiązki te nie może być w gruncie rzeczy zupełnie odpowiedzialnym. Wzięto odeń materiały, ale: 1-o niewiadomo, czy sam on byłby je wogóle kiedykolwiek chciał zużytkować, a 2-o kto wie, czy byłby zadowolony z układu i redakcyi spadkobierców, którzy, klasyfikując je w ten a nie inny sposób, zupełnie zwichnąć mogli intencje autora i zużytkowanym materiałom zupełnie inne nadać znaczenie. Dla tego też pierwszy tom „Niewydanych dzieł W. Hugo“ — „Teatr na wolnem powietrzu,“ najslabsza z wydanych dotąd od śmierci autora czterech ksiązek, najmniej pod uwagę brany być winien, jako będący w znacznej części owocem niedołejnej pracy i zbytecznego pietyzmu wydawców. Druga ksiązka „Rzeczy, na które patrzalem,“ którą także do tej pierwszej grupy zaliczyć należy, a w której praca wydawców ograniczyła się jedynie do ułożenia w chronologicznym porządku luźnych kartek pamiętnikowych, stoi już owiele wyżej, ma ustępy przepyszne i przez prostotę opowiadania — genialne.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z drugą grupą, gdzie nie tylko materiał, treść ksiązki, lecz i plan jej, i pomysł, i tytuł nawet jest własnością samego autora, gdzie zapowiedź danego dzieła

słyszeliśmy jeszcze za życia autora, bądź od niego samego, bądź od blizkich mu osób, wtajemniczonych w pomysły i postęp prac przedsięwziętych. Tu już wiemy najpierw: czyją pracę w ręku mamy i czujemy też *unquem leonis...* Tak było z wielkim poematem p. t. „Koniec szatana.“ O pomysły jego zawiadamiał autor czytelników już w przedmowie do pierwszego tomu „Legendy Wieków.“ Następnie, w jednym z listów Karola Hugo, syna poety, do Vacqueriego była wzmianka o szybkim posuwaniu się ojca w pracy nad tym poematem. I tu i tam plan dzieła przedstawiał się jako zupełnie gotowy i w szczegółach obmyślony; chodziło tylko o wykonanie go. To też, gdy „Koniec szatana“ ukazał się w druku, jako tom II pism pośmiertnych, oczekiwania ukształconego ogółu nie zostały zawiedzione. Pomimo ułamkowości swej, pomimo szkicowego ledwie zaznaczenia całej drugiej połowy poematu, pomimo braku wykończenia w szczegółach, a przeładowania całości zbytnią niekiedy dozą patosu, dzieło wywarło głębokie wrażenie. Wiało zeń tchnienie geniuszu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚC HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Mścisław odwołał go na stronę i kilka słów szepnął.

— W Debry zaprowadzić! — krzyknął do orszaku otaczającego wojewodę i z pogardą i gniewem rzucił spojrzenie na Kościuszka.

— Dokąd prowadzisz mnie, kniaże? — spytał stary.

Mścisław zmierzył go dumnie.

— Na radę... ze Sławoszą — odrzekł.

Wojewoda domyślił się łatwo, że go na śmierć prowadzą.

— Panie! — rzekł, podnosząc wzrok ku niebu — wielkie jest miłosierdzie twoje... przebaczone grzesznemu... przebaczone grzesznej duszy mojej... bądź opieką i obroną biednemu dziecku... a jeśli wola twoja, wybaw lud nieszczęśliwy od tych wilków krwiożerczych, którzy siebie nazywają opiekunami jego, a są tylko jego k atami...

Orszak w milczeniu podążył ku bramie, tuż obok Książęcego Dworu, przy drodze prowadzącej do Berestowa i do Peczerskiego Monasteru. Wojewoda, jadąc, modlił się. Wśród milczenia, przerywanego głośnie modlitwą wojewody, orszak przeszedł bramę i zginął wkrótce w gęstym, niebotycznym lesie.

W parę godzin potem tensam orszak powrócił znowu na kniaży dwór, ale wojewody już nie było.

Każdy wiedział, co stało się z wojewodą.

W Kijowie zapanował spokój, ale spokój przerażenia i trwogi o jutro. Dziś wieszal i mordował lud Mścisław, jutro może rozpocznie to samo Izaśław lub Bolesław. Takie myśli snuły się po głowie Kijowianów. Na obronę już było zapóźno: wilk był w owczarni. Syn torował drogę ojcu do stolicy wielko-ksiązkiej krwią i trupami.

Nie dziw więc, że przerażenie zapanowało ogólnie. Już nic więcej nie pozostawało, jeno zginać karki niżej i niżej; trzeba było kniazia i obcą drużynę przyjąć w gościnę. Daleko za Złotą Bramą wystąpiło duchowieństwo z obrazami, chorągwiemi i relikwiami. Posłowie chleb, sól i klucze od bramy nieśli. Za nimi ciągnął się nieskończony tłum ludu, przelękniony, strwożony,

niepewny życia swego i mienia, gotowy do nóg upaść zwyciężcom i o łaskę i przebaczenie prosić. Postępując za liczny orszakiem duchowieństwa świeckiego i klasztornego, śpiewali psalmy pokutne i płakali, poglądając na szczyty pozłociste cerkwi i na gród, w którym tylko starcy, żony i dzieci zostały.

Zbliżali się właśnie ku Łybedi, kiedy wojsko Bolesława, Izasławowa drużyna i piesi już zaczęli przepierać się przez rzekę. Oslupieli z przerażenia i bojaźni, widząc niezliczoną mnogość wojowników, błyszczące hełmy i pancerze, olbrzymie oszczepy i wielkie łuki niemieckie.

Izasław jechał z Bolesławem przodem. Podjechałszy nieco ku grupie ludzi wysuniętych na czoło nieprzeliczonego tłumu ludu, zatrzymali się, duchowieństwo pochyliło przed nimi chorągwie, a cały tłum ludu upadł na kolana i jednym głosem wołał: „Łaski, łaski, łaski!..“ Z orszaku wystąpił tysiącki kijowski i na srebrnej misie klucze od grodu i bram Izasławowi podał.

— Miłościwy kniaże — rzekł — lud twój błaga przebaczenia i litości. Nasycałeś już sprawiedliwą zemstą twoją, ukarałeś, kogo wola twą była ukarać, ale nie niszczyj szczętu grodu ojca twego i dziada. Z pokorą oddajemy ci klucze od grodu i bram: weź je i panuj nad nami miłościwie.

— Z jego pomocą — rzekł Izasław, pokazując na Bolesława — Bóg mi pomógł przyprowadzić was do posłuszeństwa i rozumu: jemu więc i klucze od bram oddajcie.

Posłowie wręczyli klucze Bolesławowi. Już tylko pokorą bronić się mogli.

Nie po raz-to pierwszy aż nadto widocznym było, czem jest Król Polski dla Izasława; zaszczyty, jakie mu czynił, nietylko należały się wielkiemu gościowi, ale i wielkiemu wojownikowi, którego łaskę musiał sobie skarbić Izasław, bo nie był pewnym, czy zemstą kupiony spokój trwałym być może. Izasław, jak dawniej, tak i teraz, miru u ludu nie miał: musiał więc utrzymywać przy sobie tylko najemną i płatną drużynę; tem potrzebniejszą była mu powaga i siła Bolesława.

Bolesław i Izasław już dawno rozgościli się byli na kniażym dworze, a wojsko szło jeszcze i jeszcze; zdawało się, że końca temu nie będzie. Za laskami kirysnikami, w ciężką niemiecką zbroję zakutymi, postępowała lekka jazda, rozmaicie uzbrojona, potem szła drużyna Izasława, potem rat' bojarska kniazia, za nimi ciągnął się nieskończony łańcuch piechoty lackiej i polańskiej, potem obóz, ciury obozowe, konie zapaśne... Ta mnogość wojska i ryszunków przerażała Kijowianów; nigdy jeszcze nie widzieli tylu wojowników, tyle świetności i siły.

Zapanował przestrach ogólny. Zdawało się Kijowianom, że za nadejściem nocy cała ta masa błyszczącego żołnierstwa rzuci się na ich domy mienia i dobytek z dymem puści... Lękano się Izasława i miano powody lękać się, bo widziano, jak sprawował sprawiedliwość syn jego Mściśław.

Chcąc przejednać gniew Izasława i pozyskać sobie Króla Polskiego, zaczęto znosić na kniaży dwór liczne i bogate podarunki. Nie minęło kilka godzin, a cały obszerny dziedziniec kniażego dworu piętrzył się stosami szub sobolich i kunich, migotał od słońca jaskrawymi barwami pawołów, błyszczał złotem i srebrnymi naczyniami. Wszystko to kładziono u nóg zwycięzców z pokorą i błaganiem o litość.

— Musiałeś temu biednemu ludowi — rzekł Bolesław — dobrze strachu napędzić, kiedy tak nisko kłania się tobie...

— Kłania się, jak widzisz, ale ja tej pokorze nie bardzo wierzę... znam ich!

— Boisz się? — spytał żartobliwie Bolesław.

— Znam ich — odrzekł z naciskiem Izasław. — Niby już spokój, ale niech jeden krzyknie: „Po co tego rudobrodego wprowadziliście do Kijowa, aby wasze dzieci mordował i mienie rozdrapywał? Albo nie macie lepszych kniażów, aby ich zaprosić?“ — już będzie dosyć... już jest ruchawka, już się na wiec gromadzą i krzyczą!

Bolesław uśmiechnął się.

— Ty z ludem się swarzysz — rzekł — a ja w domu mam kłopot z panami i księżmi. Lud pragnie tylko dobra, spokoju, sprawiedliwości, a panom i księżom trzeba pieniędzy, urzędów, znaczenia i trzeba ludu, aby na nich pracował, bo oni już leżanego chleba spróbowali i od pracy odwykli.

Zbliżał się wieczór. Większa część wojska była rozstawiona już na leżach. Dla Bolesława i przybocznej drużyny naznaczył Izasław Krasny Dwór nad Dnieprem na siedzibę. Król dopiero na zajutrz miał się tam ulokować, a dziś przenocować jeszcze na Kniażym Dworze.

Zaledwie nieco uspokoiło się na dziedzińcu Kniażego Dworu, kiedy dano znać do grydnicy, że na Padole w dzwon wiecowy uderzono.

— Spodziewałem się tego — rzekł, zwracając się do Bolesława Izasław. — Widzisz? nie długośmy czekali...

Posłany na wiec pacholek wieść przyniósł.

— Boją się Lachów, miłościwy kniaże — mówił, chcąc, abyś na wiec jechał i zaręczył im spokój i bezpieczeństwo, bo inaczej grożę, że powstaną jak mąż jeden, iz wojskiem twojem będą walczyć, aż ich wszystkich wymordujesz.

Izasław, wysłuchawszy opowiadania w milczeniu, pacholka odprawił.

— Widzisz — rzekł do Bolesława — jeszcze nie jesteście ani bezpieczni, ani spokojni.

Król odrzekł mu zamyślony.

— Nadtoś wiele dał Mściśławowi swobody.

— To się nie wróci... Wiem, że nie Lachów oni się boją, ale tej ręki — i rękę podniósł do góry.

Chwilkę trwało milczenie.

— Trzeba — mówił dalej Izasław — Miłościwy Królu, abyś na wiec pojechał: przemówisz do nich, przekonasz, że jesteście tylko gościem u mnie, że wyjedziesz wkrótce... co chcesz powiesz, ale trzeba uspokoić tych krzykaczy lub zbierać wojsko...

Bolesław nie namyślał się długo, zawołał pacholek i konie nanowo potroczyć kazał.

Z liczny konny orszakiem wybrał się na wiec. Nie brakło mu ani śmiałości, ani ciekawości. Chciał widzieć tę falę ludu, kiedy rozłukana strąca z tronu książąt własnych, a innym nad sobą panować pozwala.

Zgromadzony na wiecu lud był uwiadomiony, że Król Polski na wiec przyjedzie; wieść ta, jak błyskawice, przebiegła przez masę ludu. Gdzie tylko pokazał się orszak królewski, w milczeniu rozstępowano się przed nim szeroko i tak przez nieme szeregi Kijowianów, orszak królewski dojechał do placu, na którym stał dzwon wiecowy. Starszyna, ugrupowana wokół dzwonu, oczekiwała przybycia króla.

Zaledwie orszak zatrzymał się, kiedy do króla zbliżył się Warażko i zapytał:

— Z mirem, czy z wojną przychodzisz do nas, królu?

— Z mirem przychodzę do was, Kijowianie — odrzekł Bolesław. — Izasław, krewny mój, prosił, abym go przeciwko Wszesławowi bronił; chciałem go bronić, ale, jak wiecie, Wszesława niema, uciekł, a z ludem wojny mieć nie chcę.

— Mądrze mówisz, królu — rzekł posadnik z Biełhorodu — lud chyba tyle winien, że chce dobra i spokoju.

Potem Warażko zwrócił się do ludu mrowiącego się naokoło dzwonu i podniesionym głosem zawołał:

— Słyszycie, co mówi Król? On nie chce naszej zguby...

— Nie chcę, Kijowianie, waszej zguby — powtórzył Bolesław — chcę zgody z wami i druzby. Jestem waszym sąsiadem, a chcę być jeszcze waszym przyjacielem; siłą i bogactwem ludu są silni królowie i państwa.

— Bóg ci zapłać, królu, za to, że lud szanujesz szermiężny — ktoś odrzekł — niechże ci nagrodą będzie miłość ludu. Złożymy ci podarunki i grzywny, ale poszanuj, królu, gród nasz i ziemię, macierz naszą.

— Nie po grzywny i podarunki przyszedłem do was. Zycie sobie spokojnie i używajcie tego mienia, na które pracowaliście. Mnie pozwólcie tylko odpocząć w grodzie waszym; wielką i da-

leką odbyliśmy drogę, trzeba odpoczynku ludziom i koniom. Odpoczniemy i wrócimy do domu, nie czyniąc wam zła, ni szkody.

Warażko triumfował.
— Widzicie, Kijowianie — wołał — jakich kniażów Bóg ludziom daje...

Zwróciwszy się zaś do Bolesława dodał:

— Wierzmy tobie, kiedy nam zaręczasz spokój i bezpieczeństwo; zostań gościem naszym tak długo, jak zechcesz, a jeżeli wola boża, że na nas spadnie gniew Izasława, bądź naszym obrońcą przed kniazem. Kiedy kochasz swój lud, i naszemu zła nie uczynisz.

Uspokojony lud ze wszech stron cisnął się do Bolesława, całował jego nogi i błogosławił, towarzysząc mu gromadą aż na dwór kniaży. Król rozmawiał ze wszystkimi, którzy się tylko zbliżali do niego.

Już po odjeździe Bolesława na Kniaży Dwór lud, rozchodząc się do domów, nie mógł nachwalić się przystępności i dobrego serca króla lackiego.

— On będzie nam miłościwym obrońcą przed kniazem — szeptano dokoła.

IV.

Sądzony.

Po zabranii ojca przez wysłańców Mściśława, została Luda z Dobromirą w dziewiczej górniczy teremu. Siedziała i płakała. Mijały długie godziny, a ojciec nie wracał. Na Górze cisza była, jakby na pogrzebie. Lud siedział w domu i głowy nikt nie śmiał wychylić na ulicę i drogę. Na Padole tylko tłum burzył się na wiecu i krzyczał.

Posyłała Luda dowiadywać się na kniaży dwór; głuchą ztamtąd przyniesiono wiadomość: kniaź zatrzymał wojewodę. Już Bolesławi Izasław weszli do Kijowa, zasiedli na Kniażym Dworze, już rozlokowano i pieszych, i rat' i drużyny — a wojewody jak nie było, tak nie było. I nigdzie nie można było zacerpnąć wiadomości, gdzie się podział; wszyscy widzieli, jak go na Kniaży Dwór gwałtem powieziono, ale nikt nie widział, ażeby z Kniażego Dworu wyjechał.

Niespokojna, doczekała Luda wieczora. Aż oto znówu, jak niegdyś, doleciał jej uszu odgłos wiecowego dzwonu. Zadrżała mimowolnie na jedno wspomnienie tego, co ten odgłos wywoływał w jej duszy. Cóż to? Czy nowe zaburzenie? Nowa wojna domowa? A głos dzwonu jęczał i jęczał. Tu i ówdzie przesuwały się drogą zbrojne orszaki, tu rat' Izasława, ówdzie drużyna lacka, zdążając na nocleg, tam znówu mignęło kilka postaci, chyłkiem wymykających się za Bramę Kożemiacką — znać ciekawość ich wiodła dowiedzieć się: o czem radzą na wiecu Kijowianie?

Potem dzwon zamilkł, ale moc ludu mrowiała się jeszcze przy Turowej Bożnicy.

Dobromira wysłała na Padół odważnego czeladnicę dowiedzieć się: czy nie da ktoś wieści o wojewodzie, — rozpytać: co też mówią, o czem znówu radzą na wiecu? Późnym wieczorem powrócił posłany i wieść przyniósł o tem, co się stało: czego pragnęła starszyna kijowska, co mówił Bolesław, jak się lud uspokoił i króla lackiego chwalił; ale o wojewodzie nie było ani słuchu, ani ducha!

Płakała i modliła się Luda noc całą. Nazajutrz wstało piękne wiosenne słońce i mgły, ścielące się daleko ponad lasy i wody, rozwiało; ale nie rozwiało smutku w duszy dziewczyny. Rozesłano znówu czeladź po całym Kijowie i na wieści czekano.

Kijów ożywiać się począł. Ciągnęły ze wszech stron zbrojne orszaki lackie; konne i piesze, na Kniaży Dwór zdążając; przedniejsi wjeżdżali konno do obszernego dziedzińca Kniażego Dworu, inni zatrzymywali się przed cerkwią Bogadzicy, innych znówu wysyłano na Krasny Dwór, dokąd dziś właśnie na stałą siedzibę miał odjechać Bolesław; część drużyny lackiej i wojska

nakazano rozlokować na Berestowie i w przy-
ległych „pogostach“ i wsiach.

Luda nie mogła u nikogo dopytać się o woje-
wodę. Dobromira byłaby dawno poszła sama,
ale lękała się pozostawić dziewczynę na opiece
tylko dziewczek służebnych. Czekala póki nie roz-
lokuje się wojsko; wtedy będzie mogła wybiedz na
wywiady.

Kośniaczkówna, wyglądając przez okienko na
drogę, spostrzegła Bognę Bracyszlawównę.
Dziewczyna szła śpiesznie, nie oglądając się, z gło-
wą scholoną tak, że służebnica zaledwie za
nią zdążyć mogła. Śpieszyła widocznie; zrów-
noważszy się z teremem Kośniaczki, jak cień prze-
ślizgnęła się cicho przez furtę, wbiegła do sieni,
i znikła. Za chwilę była już w świetlicy Ludy.
Wyglądała strwożoną, nieśmiałą i zakłopotaną:
widocznie miała coś do powiedzenia i nie wie-
działa, jak tej wiadomości udzielić. Zakłopo-
tanie to było zbyt widocznem, dostrzegła je też
Luda.

— Co ci jest? — spytała.

— Nic... biegłam do ciebie... — nie kończyła.

— I cóż? Wiesz co o ojcu? Mów...

— Wiem... — odrzekła i ze współczuciem spoj-
rzała na Ludę, ale nie mówiła tego, co wie-
działa.

Luda pytającą okiem patrzyła na Bognę.

— Czy jeszcze na Książym Dworze?... Poje-
chał tam...

Bogna rzuciła się na szyję przyjaciółce i ca-
lować ją ze łzami poczęła

— Pojechał... ale... nie wróci już... — odrzekła.

Luda jeszcze nie odgadła nieszczęścia.

— Dlaczego?

Bogna pocałowała ze współczuciem przyja-
ciółkę.

— Nie żyje... Mścisław zemścił się...

Luda płaczem wybuchła.

Gdy pierwszy gwałtowny płacz uspokoił się
nieco, Bogna opowiedziała szczegółowo, co się
stało po przyprowadzeniu wojewody do Mścisła-
wa i jaką wojewoda z młodą kniazem miał
rozmowę. Wieści tych udzielił Bracyszlawowej
Putiata, a matka do Ludy posłała i powtórzyć
nakazała.

Po przejściu nerwowego wzruszenia Luda po-
częła się zastanawiać nad sobą i nad sieroctwem
swojem. Przesłała płakać, ale na oczach jej
stał ciągle ten dobry i łagodny starzec, który
ją tak kochał, który ją jak, gołąbek, tulił do pier-
si i pieścił. Trzeba było przynajmniej odszukać
jego trupa i pochować — ale gdzie szukać? W jaką
pójść stronę? Dowiedziała się tylko, że powie-
szono go w Debrach. Siedziała, zamysłona, z błę-
dnym wzrokiem, wycężonym przed siebie.

— Pójdę go szukać... — rzekła, jakby sama do
siebie.

Dobromira przeległa się.

— Gdzieś pójdziesz? Debry są wielkie...

— Za Książym Dworem pewnie... pójdę tam...

— Poczekaj do jutra... niech się ten ruch uspo-
koi... niech raz już gdzieś kniazowie rozmieszczą
swoje drużyny... Słyszysz?... znowu uderzyli w ko-
tły i litawry...

Zdawało się, że Luda nie słyszała uwag Do-
bromiry.

— Pójdę... chcę go jeszcze raz widzieć... chcę
jeszcze trupa mego drogiego ojca ucałować... chcę
go pochować pochrześcijańsku...

Żadna siła powstrzymać jej nie mogła. Wy-
rwała się z objęć Bogny, z rąk Dobromiry i po-
biegła wprost ku bramie za Książym Dworem

Ten i ów ją spotkał i patrzył zdziwiony. Jej
twarz blada, długa rozpleciona kosa, którą wiatr
rozwiwał na wszystkie strony i szyję dziew-
czyny, jak pierścieniem, ścisnął, zatrzymywały
uwagę przechodniów. Dobromira pobiegła za
nią, ale stare nogi mamki nie zdołały już podą-
żyć za dziewczęciem; stara straciła ją z oczu.

Luda biegła wciąż naprzód, nie przemówiła do
nikogo ani słówka, nie spojrzała na nikogo — bie-
gła i biegła... Minęła furtę w bramie za Knia-
żym Dworem, wbiegła na wąską leśną drożynę,
prowadzącą do Peczerskiego Monasteru i zatrzy-
mała się ze zmęczenia. Chłód lasu owionął ją,
oprzytomniała, poczęła rozglądać się dokoła:
wszędzie las i las niebotyczny. Z obu stron tu-

liły się do olbrzymich brzości i jesionów krza-
ki leszczyny, pokrytej młodym, puszystym liściem,
jeszcze niezupełnie rozpułkłym, a na miękkich
listkach spoczywały krople rosy, połyskujące od
słońca barwami tęczy. Tuż u nóg, pomiędzy po-
zółkłych zeszłorocznych liści wychylały się fioleto-
we głowy dzwonek i fijołek lub też gromady
pierzosiaków nieśmiało wyglądały do promieni
słonecznych. A dalej — dalej stały, jeden obok
drugiego, olbrzymie liściaste lasy, poważnie,
w milczeniu spoglądające w szafiry niebiosów lub
z cicha wiodąc ze sobą jakieś rozmowy. Konary
drzew, splatające się w serdecznym uścisku, two-
rzyły zielony baldachim, przez szczyt którego,
niby strzały pozłociste, przelatywały promienie
słoneczne i oświecały i ogrzewały maleńki dro-
biazg tulący się u podnóża olbrzymów.

Stanąwszy na drodze, wsłuchiwała się Luda
w uroczą ciszę leśną. Z szumem wiatru, lekko koły-
sącego drzewa, dolatywały jakieś echa... Podnio-
sła głowę — słuchała: niby stłumione głosy ludz-
kie, niby tentent koni niewyraźny, głuchy, dale-
ki... Słuchała znowu i starała się rozpoznać
echa: nie, to nie były głosy ludzkie, nie tentent
koni; to młyn szumił na potoku w Chreszczatej
Dolinie.

Stojąc śród drogi, nie wiedziała dokąd ma iść,
jakby się namyślała; poszła nalewo. Szła dłu-
gą chwilę wśród ciszy, słysząc tylko echa kro-
ków własnych. W tem ze wzgórza mignął przed
nią krzyż pozłacany; postąpiła jeszcze parę kro-
ków i oto przez małą polankę, jak przez otwar-
te okienko Dniepr obaczyła. Poza szeroką, cie-
mną, zwierciadlaną powierzchnią jego ciągnęła
się zielona smuga — to Ostrów Turchanów, dalej
błyszczała także jakaś wielka powierzchnia wo-
dy, to drugie ramię Dniepru; — dalej jeszcze pół-
kolem błękitniały wierzchołki lasów, a nad nie-
mi wisiał rozpięty bezbrzeżny, szafirowy namiot
niebios.

— To gród — niedaleko ztąd — pomyślała so-
bie i wróciła nazad.

Przeszła znow w poprzek przez drużynę pro-
wadzącą do monasteru i zatrzymała się chwilę;
zdało się jej, że przed nią, niby ścieżka, niby
ślad, którego niedawno jeszcze ktoś przechodził.
Młoda trawka była zmięta, krzaki leszczyny po-
łamane lub pogięte naokół, liście i ziemia strato-
wane kopytami koni. Poszła za tą wska-
zówką.

Niedługo szła po pochyłości góry, kiedy się
przed nią odkryła polana leśna. Dwa rozłoży-
ste dęby stały pośrodku niej, a na konarach wi-
siały trupy. Szczyty dębów owych, jakoteż są-
siednie drzewa, otaczające polankę, czerniały
od kruków, które na żer zleciały się do trupów.
Śmielsze z nich siedziały na głowach wisielców,
wykluwały oczy i twarz, kłócąc się ze sobą, zła-
tując i siadając znowu; inne siedziały na ramio-
nach, czepiały się odzieży na piersiach, i szpo-
nami, dziobami rozszarpały ją, chcąc dostać
się copędzej do ciała...

Luda, przestraszona tym widokiem, który
pierwszy raz w życiu swoim oglądała, cofnęła
się nieco. W tem zdało się jej, że pomiędzy wi-
sielcami dostrzegła odzież znajomą... Zaledwie
kilka kroków postąpiła naprzód, aby przekonać
się, czy się nie myli, kiedy o uszy jej odbił się
prerażający ryk niedźwiedzia. Nie widziała go
jeszcze, ale odryku, który stokrotnie echem odbił
się po lesie, drgnęła mimowolnie, — szła jednak
naprzód. Między wisielcami poznała ojca, koły-
sającego się na gałęzi. Wpatrzywszy się, doj-
rzała tuż nad głową jego siedzącego niedźwie-
dzia, który umocowawszy się pomiędzy pomniej-
szymi gałązkami, siedział nazadzie i gałęzią kołysał
tak, że trupy wiszące na niej poruszały się, jak-
by niedawno powieszono. Niedźwiedź przyszedł
tu do barci w gościnę, a najadłszy się miodu już
właśnie miał się ku zejściu, kiedy nagle dojrzał
dziewczynę i na gałęzi przysiadł. Luda nie mo-
gła zdać jeszcze sobie sprawy z obrazu, na który
patrzyła, kiedy gałąź pod naciskiem kołyszących
się na niej trupów i niedźwiedzia zatrzeszczała,
nagle i trupy razem z niedźwiedziem spadły na
ziemię.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W ANTYLLACH.

Przez

Quatrelles

przekład M. K.

(Dalszy ciąg.)

VII.

U l i c e.

Na ulicach krąży tłum najróżnorodniejszy, jak
tylko można sobie wyobrazić. Kreol, drobny,
szczupły, muskularny, zawsze starannie obuty,
w europejskim na głowie cylindrze, biało ubrany,
oprócz tużurka, który bywa ciemnej barwy. Pie-
szo chodzi on jak najmniej, jeżeli jednak koniecz-
ność zmusi go do tego, stąpa uważnie po wą-
kim chodniku, z trudnością się rozmiągając z Ka-
talończykiem, rozrosłym, barczystym, w luźnem,
zawsze porozpiętanem ubraniu. Murzyn wędruje
środkiem ulicy, poruszając rękoma, niby waha-
dłami, z nosem zadartym, kiwa głową i patrzy
wokół bezmyślnym wzrokiem, przytem nuci
niewiadomo jaką piosenkę, przesuwając się z tru-
dnością pomiędzy powozami. Mulat, żywszej na-
tury, rad zawsze jakiejś awanturce, przeslizgnie
się wszędzie, na wszystko rzuca zachwałę spoj-
rzenia. Przystaje na chwilę dla zamienienia kil-
ku słów wesolych ze spotkanym towarzyszem,
poczem biegnie dalej, by znow zatrzymać się za
parę minut. Chińczyk przezornie trzyma się mu-
rów, idąc prędzej, niż oni wszyscy, chociaż wy-
gląda, jakgdyby się nie poruszał wcale.

Kobiety, w sukniach wyciętych, jasnych, mu-
slińowych, z gołymi głowami lub z zarzuconą
czarną koronkową mantylą, jadą w wolantach.
Oto widzę dwie, zatrzymujące się przed szewcem;
ponieważ nie chce im się wysiadać z powoziku,
podają więc śliczne nóżki, obciążone przezro-
czystymi pończoszками, a subjekci przymierzają
im pantofelki.

Na szczęście, szerokie szyldy, malowane na płó-
tnie, wyciągnięte z jednej i z drugiej strony uli-
cy na wysokości pierwszego piętra, chronią nie-
co przechodnia od zaczynających przygrzewać
promieni słońca. Chodniki w Hawanie są nie-
znośnie wąskie — zaledwie jedna osoba przejść
może — a o starości ich wątpić trudno, tak są bo-
wiem wyżłobione, że wyglądają jak rynny; po-
niważ i ulice niezbyt szerokie: za każdym więc
nadjeżdżającym powozem chronić się musisz do
sklepów. Nigdy też nie widać tu dwóch osób
idących pod rękę; ta miła poufałość, ta łączność
dwóch postaci podtrzymujących się wzajemnie,
lub tulących się do siebie — jest poza kanałem Ba-
hama nieznaną rzeczą.

Z każdego okna wyziera główka, na poręczu
każdego balkonu wsparte obnażone ramię. Czy
wewnątrz tych domów nic niema do pielęgnowa-
nia, nic do kochania — że tyle kobiet wiecznie
żyje w oknach, jak nieco obrazowo się wyrażę?

Magazyny przy ulicach *Mercadores, del Obis-
po, de Obrapia*, i w innych, ważniejszych punk-
tach miasta posługują się dla zwabienia kupują-
cych sposobem, który ubawiłby niezmiernie Pa-
rażanów. Przed stołami sklepowymi lub przed
wystawami okien odwrócone plecami do wejścia,
stoją manekiny wielkości naturalnej, starannie
ubrane, niby osoby przyglądające się uważnie
towarom.

Zdarzało mi się też spotykać komiczne połą-
czenie przedmiotów handlu w jednym i tym-
samym sklepie. Puszka rz, naprzykład, sprzedający
rewolwery i sztylety, posiada zarazem bandaże i
wszelkie środki opatrunkowe. Apteki tu wszyst-
kie wyglądają wspaniale. Aż się człowiek wsty-
dzi wejść do tych pałaców i trudzić dla kilku
groszy tak wytwornych paniczów, jak ci siedzą-
cy za kontuarami. Wprawdzie są oni tak uprzej-
mi, iż, aby cię osmielić, z całą delikatnością, po-
troją cęną żadanego przedmiotu.

W Europie rozpowszechnione jest mniemanie, iż dość przybyć na wyspę Kubę i uniknąć żółtej febry, aby się dorobić majątku: mniemanie to jest zupełnie mylne. Przeciwnie, trzeba do tego wielu i szczególnych warunków. Trzeba posiadać cierpliwość i wstrzemięźliwość wielbłąda, małpi spryt, lwią odwagę, pracowitą wytrwałość bobra, zręczność kota, przezorność węża, tygrysie szpony, zdrowie krokodyla, upór zebra a uczciwość sroki.

A i to jeszcze chociażby cudzoziemiec posiadał te wszystkie przymioty, przełożą nad niego Kreola, jeżeli z Kreolami do czynienia mieć będzie; jeżeli z rządem—oddadzą pierwszeństwo Hiszpanowi. Ma zatem wszelkie dane wegetowania jedynie na wyspie Kubie. Niech mnie Bóg broni od krytykowania przyjęcia, jakiego doznałem w towarzystwach, albowiem gościnność jest jedną z cnót kreolskich; ja mówię tu o sprawach materialnych.

W wyższym kupiectwie niema ani jednego domu francuzkiego, niewiele angielskich i kilka za ledwie kantorów amerykańskich. Kuba należy do Hiszpanii, i Hiszpania nie myśli, chociażby najdrobniejszych okruszyn zysku, wypuszczać ze swych dłoni: cały też przemysł znajduje się w rękach jej synów, ziemia zaś pozostaje w posiadaniu Kreolów. Administracja kraju całkowicie hiszpańska. Zaledwo na kilku urzędach znajdują się krajowcy, a i to jest powodem wyrzekań i wrzasków.

Katalończycy, Galicyanie, Asturyjczycy, najchętniej z ewszystkich Iberyjczyków wyjeżdżają do Kuby. Przybywają z kilku groszami w kieszeni i małym tłómczkiem kramarskim z niemi i igłami, które sprzedają najpierw na ulicach, następnie, przez siłę woli, poświęcenia, oszczędności, dochodzącą do odmawiania sobie wszystkiego, dorabiają się majątku. Jedni po uzbieraniu 20,000 dolarów wracają natychmiast do kraju; ambitniejsi osiedlają się nastale i gromadzą miliony.

Asturyjczycy rozpoczynają od kramarstwa. Nawaryjczycy, chciwi rządów, zajmują miejsce zarządców w majątkach i fabrykach. Katalończycy przywłaszczyli sobie monopol podatków spożywczych: oni trzymają magazyny żywności dla marynarki, cukierne, kawiarnie, restauracje, sklepy korzenne, hotele i t. d. Zręczni, śmiali, w zgodzie zawsze wszyscy pomiędzy sobą, zbyt przebiegli, by wzajemnie rywalizować, pozostają też bezspornie panami targu. Wprawdzie Murzyni niewiele sobie z nich robią; nieraz sam słyszałem mówiących Czarnych:

— Oj! senior, jakże chciałbym być białym... niechby już tylko Katalończykiem!

Ziemia, z małym wyjątkiem w rękach Kreolów. W porównaniu do majątków ziemskich fortuny przemysłowców są niczem prawie. Są to bezgraniczne niemal obszary, tylko zbyć je trudno. Nieufność opanowała umysły, wśliznęła się w nie jak robak w owoc; wszyscy żyją z dnia na dzień w oczekiwaniu jakiegoś przewrotu. Przyszłość— to jutro może.

Zbyt krótko przebywałem na Kubie, abym mógł wygłaszać publicznie zdanie, jakie sobie wyrobiłem o czekających ją losach. Kwestye polityczne, odnoszące się do tego pięknego kraju, wydały mi się jasnymi i nieulegającymi wątpliwości; jednakże zbyt to są świeże jeszcze wrażenia, abym miał prawo narzucać je mym czytelnikom.

VII

Loterya.

Wszystkie narody mieszkające pod palącemi promieniami słońca mają w sobie żyłkę szulerką; to rzecz wiadoma i łatwo zrozumiała.

Upał czyni człowieka leniwym. Cóż czynić jeżeli nie marzyć skoro się leży wyciągniętym na *catre* lub spoczywa na *mecedor*? Wyrzuca się sobie wprawdzie łagodnie własne niedołęstwo i

przypomina z zazdrością o tylu tak szybko i łatwo zdobytych fortunach. Rząd, wiedzący równie jak każdy, co to jest lenistwo, umie z niego korzystać. Lenistwo tłumów staje się dla niego źródłem niewyczerpanem dochodów.

Niema też jednej żywej ludzkiej istoty, która by chociaż z najskromniejszych dochodów nie oddzieliła cząstki przeznaczonej na opłatę biletu loteryjnego, nikogo, ktoby nie uchylił furtki fortunie co miesiąc, niechcąc aby daremnie kołatała. Kolektor wślizgnie się wszędzie. Oto idzie, trzymając w jednej ręce zwój losów, w drugiej nożyczki i wykrzykuje liczby, dodając przy każdej szereg zachęcających pochwał. Przedewszystkiem spogląda na Port Morro: czy wywieszono już żółty sztandar?

— Dobrze—myśli sobie—sygnalizują pocztowy parowiec hiszpański. Za godzinę przybędzie do portu. Będę miał dziś targ dobry.

I rzeczywiście, każdy wyładowujący Hiszpan bierze w porcie już zaraz chociażby ćwiartkę losu. w błogiem przekonaniu, iż fortuna okaże się dla niego przychylną i za dni dwadzieścia położenie jego materialne ulegnie zupełnej zmianie.

Co to za filozof taki uliczny kolektor! Jak on zna serca ludzkie i jakie nad niem codziennie czyni spostrzeżenia!

— Senior—krzyczy zpoza *reja de la ventana* do *caballero* przybyłego w odwiedziny — nie odmówisz pan przecież jednego bileciku dla pięknej *ninia*. Szczęście wam obojgu niewątpliwie posłuży i zwiększysz jej posąg.

Młoda mężatkę zachęca do wzięcia biletu, jako niezawodnej fortuny dla spodzie wanego *ninito*.

Dla Murzyna ów świstek papieru przedstawia wolność. Chińczyk widzi w nim odzyskaną ojczyznę, *guajiro*, świetne *potrero* ze stu koniami, niezliczone stada bydła i *machete* ze srebrną rękojeścią; dla żołnierza to galony, dla prawnika kancelarya licznie uczęszczana zapchana brudnemi aktami spraw wątpliwej uczciwości; dla młodej dziewczyny—mąż; dla chłopca—kochanka... każdy przez ciąg dni dwudziestu marzy o urzeczywistnieniu swych pragnień.

A gubernator? Nie będąc marzycielem, osiąga jednakże z loteryi najpiękniejsze zyski. Ze wszystkich dochodów ten najpewniejszy i największy, jak nam to wykażą następujące liczby. Gubernator wypuszcza biletów za 480.000 piastrow. Wyplaca wygrywającym 437 numerom 360.000 piastrow, zatem pozostaje dla niego, niby na koszt loteryi, 120.000 piastrow! I to, co dni dwadzieścia! Domoralizuje to wszystkie warstwy ludności w najwyższym stopniu. Murzyn kradnie, aby zapłacić stawkę za bilet lub chociaż cząstkę biletu, jaką mu ustąpi jakiś *bodeguero*. Opowiadano mi o pewnej miłej damulce, która z pieniędzy dawanych przez męża na wydatki domowe urywała wiele mogła, aby brać bilety na loterya, nakoniec wygrała 500 piastrow, to jest 2.500 fraków—niewiele; jednakże od owego czasu, nie przestając tak samo odejmować od ust żywności domownikom, utrzymywała zawsze, czyniąc jakieś niepotrzebne wydatki, iż to z tego niewyczerpanego kapitału 500 piastrow.

Takie—to korzyści przynosi loterya.

Wogóle namiętność do gry wszelkiego rodzaju jest niezmiernie w Antyllach rozpowszechnioną. Wszystko tam może być stawką. Pamiętam—zapytałem pewnego razu Murzyna, przypatrującego się pilnie zdaleka jakiejś partyi rozgrywanej przez kilku panów: do kogo należy?

— Nie wiem, senior—odparł z westchnieniem.

— Cóż to? drwisz ze mnie?

— Broń mnie, Boże! Lecz pan mój gra już od godziny... Zapewne wie przez ten czas, przez wiele rąk już przeszedłem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Malarz p. Izabeli Miniewskiej (Ul. Królewska Nr 27) wyuczyła w ciągu ubiegłego roku szkolnego uczennic 14. Nauka odbywała się kompletami po uczennic 7. Na mieście udzielała p. Miniewska nauki malowania 16 uczennicom. Drugostronnie zakład przyjmował, tak, jak i nadal przyjmować będzie, zamówienia, wchodzące w zakres malowania na porcelanie, szkłe, drzewie, materyi, skórze i t. d.; oraz na portrety z fotografii wykonywane. Obok tego zakład przyjmował, jak tego czynić nie przestanie i wciągu dalszym, porcelanę malowaną przez amatorów do wypalania i dokorowania, po cenach możliwie tanich od rs. 5 do 15 od sztuki; przyczem nadmienić wypada, że malarz p. Miniewskiej posiada, oprócz wielkiego pieca, który może przyjmować porcelanę do wypalania w pewnych dłuższych terminach, i mały piecyk paryzki, który może być rozgrzewany codziennie, więc na żądanie, bez odwołki żadnej, przyjmuje malowidła amatorów do wypalania.

Przytem zakład otworzy od d. 1 Września, dla dogodności amatorów, zbyt farb, pendzelków i wszelkich przyborów malarskich, pochodzących z pierwszorzędných fabryk paryzki, oraz abonament wzorów w wielkim doborze, podejmując się zarazem wysyłania tych przedmiotów na prowincyą i do Cesarstwa.

Malarek mających w zakładzie zajęcie stałe jest sześć. Malują one porcelanę do naszych składów, przytem wielką ilość lusterek idących do Cesarstwa.

— W szkole agronomicznej w Neusich, w Holandyi, kształciły się, wśród kilkudziesięciu uczniów, 4 uczennice, a między niemi jedna rodaczka z gub. Wołyńskiej, p. Anna Łosiewska. Po pięciu latach studyów agronomicznych, ukończyła ona szkołę z dyplomem i powraca do kraju, gdzie praktykować będzie pod kierunkiem ojca, właściciela dóbr Omielin.

— P. Tuszewska, uczennica wydziału technologicznego w Zurychu, otwiera w Warszawie fabrykę tuszu i atramentu.

— P. Aniela Wisłocka, z Łodzi, otrzymała we Florencyi na konkursie Sztuk Pięknych medal srebrny, w oddziale rzeźby.

— Poznański *Kuryer Rolniczy* ogłosił, obok konkursu na podręcznik w przedmiocie z gospodarstwa męzkiego, konkurs na pracę stanowiącą podręcznik dla gospodarstwa kobiecego, któryby obejmował: najpierw opis gospodarstwa domowego kobiety, poczynając od żywienia dzieci, a skończywszy na żywieniu sług i czeladzi; następnie powinna iść rzecz o utrzymaniu porządku w domu; wreszcie wskazania co do gospodarstwa kobiecego: o mleczynie, hodowli cieląt, trzody chlewnej, drobiu, nakoniec o utrzymaniu ogrodu warzywnego, który gra rolę ważną w gospodarstwie kobiecem. Nagrody konkursowe są tu dwie: jedna 75, druga 50 marek.

— Krzyżem Legii Honorowej została udekorowaną w roku bieżącym jedna tylko kobieta, aktorka paryzka, używająca pewnej wyższej sławy jako tragiczka, Me Marie Laurent. Przecież, nie zasługi artystyczne, ale dzieła szlachetnego miłosierdzia sprowadziły jej ten zaszczytny znak odznaczenia. Już wczasie wojny francuzko-pruskiej znanem i uznanem było jej patriotyczne poświęcenie w pielęgnowaniu rannych obrońców Francyi, walczących na fortyfikacjach oblężonego Paryża, i wtedy już wiele głosów odzywało się za udzieleniem jej tej nagrody dobrze zasłużonych krajowi. Po wojnie i klęskach Komuny, wśród których Laurent rozwijała też dobroczynną działalność, ufundowała dom schronienia dla sierot po artystach: „Orphelinat des Arts,” gdzie, nietylko chowają się dobrze i uczciwie sieroty po sztukmistrzach wszelkich gałęzi sztuki, ale kształcą się zarazem do rozmaitych zawodów

w tym kierunku, oile objawiony talent na to pozwala. Ponieważ oprócz tych zasług moralna strona życia artystki jest bez zarzutu, zatem głos publiczny domagał się dla niej oddawna tego zaszczytu, na zasadzie, na jakiej otrzymują go Siostry Miłosierdzia.

— Ochmistrzyńi jednej z paryżkich szkół dla dziewcząt, Me Petitpas Barguin, została mianowana urzędniczką oświecenia publicznego: „Officière d'Instruction Publique.“ Czternaście kobiet zaznaczających się w sztuce i nauczycielstwie otrzymało palmy akademickie, dające im tytuł: „Officière d'Académie.“

— Angielskie stowarzyszenie *Opieki dla kobiet i dzieci*, istniejące w Londynie od lat trzydziestu, rozdzieliło się na dwa zupełnie od siebie niezależne towarzystwa, z których jedno ukonstytuowało się pod nazwiskiem: *Towarzystwo opieki nad kobietami*: („Society for the Protection of Women“). Prezydujący, lord Mount-Temple, wykazał na zebraniu, które się odbyło 23 Lipca w Londynie, że jakkolwiek prawa angielskie rozciągają swą opiekę nad wszystkimi członkami angielskiego społeczeństwa, a jednak brak znajomości tych praw a głównie zasobów majątkowych, czyni często kobietę, zwłaszcza z klas niższych, robotniczych, niewolnicą najgorszego męża, pijaka i wiarołomcy, a to z powodu, że nieszczęśliwa nie posiada dość znajomości rzeczy i funduszy potrzebnych do otrzymania rozłączenia prawnego. Bita, poniewierana, zmęczona trudami macierzyństwa, ucieka niekiedy od swego pana, mającego nad jej osobą prawo mocniejszego; lecz wtedy władza porządku publicznego nakazuje jej powrót do męża, a jeżeli kobieta nie prowadzi na własne imię zupełnie oddzielnego rzemiosła, mąż jest w domu panem wszystkiego i wierzycielem jego mają prawo zająć wszystkie, znajdujące się tam ruchomości, jako własność męża. Dostarczanie kobiecie środków umożliwiających, w razie najgorszym, separacją prawną, jest jednym z celów towarzystwa, nie pierwej przecież aż wszystkie sposoby naprowadzenia męża na drogę uczciwego pożycia małżeńskiego, wyczerpane zostaną. Towarzystwo liczy wśród członków swoich kilku kapłanów i wiele kobiet, znanych z cnót rodzinnych i surowych pojęć moralności. Względem, nietylko na nieszczęśliwe żony złych mężów, ale na dzieci rosnące w warunkach demoralizujących, stanowi tu bodziec działania. Kapelan księcia Portland, wielobny Mateusz Devereux, jest jałmużnikiem stowarzyszenia.

— Dnia 1 Lipca zaczęło wychodzić w Paryżu pismo: *Revue scientifique des femmes*. Redaktorką i razem wydawczynią jest kobieta, Me C. Renoz. Czytelnik znajdzie tam zebrane wszystko, czem kobieta zaznacza się w danej chwili czasu w pracy naukowej, w naukowych zawodach. Dowiaduje się ztamtąd, że w Paryżu praktykuje obecnie 13 kobiet lekarek, w Bordeaux 1.

— Uniwersytet w Walencji obchodził uroczystościę jakąś pamiątkową rocznicę swoją Professor Castelar, przemawiający z tej okazji do studentów wobec licznie zgromadzonej publiczności, dowodził, że synowie zawdzięczają głównie matkom wszystkie tkiwsze, idealniejsze uczucia, a przede wszystkim miłość ziemi rodzinnej. Zakończył też rzecz gorącym upomnieniem młodzieży, aby nie zatracala w wirze życia tych słodkich i świętych uczuć, które wyniosła z domu, a które matki przejęły młode serca. „Dlaczego, panowie, przybytki mądrości, które nas zbroją do walk i trudów życia zowiemy *Alma Mater*? Ponieważ z pojęciem tego, co nas ogarnia najsilniej, piastuje najtkliwiej serca nasze i umysły, łączymy mimowoli wspomnienie macierzyńskiej miłości, macierzyńskiego o nas starania.“ Dodając na-

stępnie, że w wiekach surowszego i twardszego życia narodów kobieta zaznaczyła się zamikowaniem i czcią dla nauki, przytoczył tę okoliczność, że uniwersytet Walencji zawdzięcza istnienie swoje kobiecie: donnie Maryi Molina de Valladolid. Ponieważ między słuchaczami znajdowało się wiele kobiet, zwrócił się mówca nakoniec do nich uwagą, że „wszędzie i zawsze kobieta jest w łonie narodu—sercem.“ — „Póki ono bije, póty pierś nie przestaje być ciepłą.“

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Stowarzyszenie spożywcze Merkury** liczyło w ostatniem półroczu 1.901 członków. Przychód czynił 12.190 rs., wydatek wynosił 10.230 rs., zatem czystego zysku jest 1.960 rs. Obrót w sklepach Stowarzyszenia był 121.203 rs. Porównanie liczb z półroczem odpowiedniem roku zeszłego, okazało, że podniósł się on o 21.523.

— **Muzeum przyrodnicze we Frascati** otrzymało szacowny zbiór ornitologiczny, nadesłany mu z Kaukazu.

— **Na konkursie zecerskim** w Londynie: kto w przeciągu godziny złoży najwięcej ezonek bez błędów?—otrzymał drugą nagrodę Polak, Wojciech Stecki, od lat kilkunastu tam osiadły i pracujący jako zecer przy dzienniku *Daily News*. Nagroda wynosiła 200 funtów, czyli 2.000 rs. i zwycięzca przysłał natychmiast część pieniędzy matce staruszce, p. Anastazyi Steckiej, zamieszkałej w Warszawie, z prośbą, aby przybyła do niego. Szczęśliwa matka dobrego syna puściła się zaraz w podróż.

— **Konkurs na budowę nowego teatru** w Krakowie został ogłoszony przez Krakowską Radę Miejską. Konkursowy projekt powinien być wypracowany na podstawie szczegółowego programu, po który należy się zgłosić do prezydenta Krakowa. Termin ostatecznego nadesłania prac konkursowych jest dzień 1-go Marca 1889 r. w południe. Najlepsze trzy prace otrzymają nagrody: 2.500, 1.500, 1.000 zł. reńskich. Plany premiowane przejdą na własność gminy miasta, nazwiska autorów zostaną ogłoszone.

— **Matejko** wygotował trzynaście rysunków kartonowych, mających służyć do ikonostasów, jakeimi kościół Ś. go Norberta w Krakowie ma być przyozdobiony. Obecnie mistrz zajęty jest obrazem historycznym z życia Piotra Dunina na Skrzynnie, fundatora „trzystu“ kościołów.

— **Muzeum dla wykopalisk** znajdujących się na Bukowinie, ma być założonem w Czerniowcach. Karol Reinstorfer, tamtejszy konserwator zabytków sztuki, opracował już projekt.

— **W Poznaniu** ma stanąć kosztem miasta na placu miejskim, jako ozdoba studni, bronzowa grupa przedstawiająca Perseusza uwalniającego Andromedę.

— **Pamięci Cesarza Fryderyka** poświęciło pióro swoje sześćdziesięciu poetów niemieckich, i zbiór ten, obejmujący najpierwsze w literaturze niemieckiej nazwiska, wyszedł obecnie z druku. Druga książka: *Złote słowa cesarza Fryderyka*, wyszła w Dreźnie, napisana przez Adolfa Kohut.

— **Angielski poeta** Tennyson, pisze wierszem autobiografią swoją—obraz uczuć, myśli i poglądów swych na życie.

— **Drugi exemplarz Madonny Syxtyńskiej**, nieznanym młośnikom sztuki, znalazł się w posiadaniu

właściciela hotelu Kulm w Sanct-Moritz, w Szwajcaryi. Nabył go od inżyniera włoskiego, zamieszkującego w Reggio, a w którego rodzinie dzieło to Rafaela zostawało przeszło od lat stu. Właściciel obecny oddał je do restauracji malarzowi H. Sesar w Augsburgu. Pochodzenie obrazu jest jakoby dowiedzionem; ponieważ służył pierwotnie, jako chorągiew kościelna, nie jest malowany na płótnie, jak oryginał z galerii Dreźnieńskiej, ale na jedwabiu—na adamaszku. Aby znawcy mogli sprawdzić, czy nie zachodzi pomyłka co do autorstwa obrazu, zdjęto z niego kopią fotograficzną.

— **Pytanie**: czy burza zmienia kierunek, gdy na drodze swej spotyka wielką rzekę? otrzymało odpowiedź, w naukowym czasopiśmie berlińskim: „Naturwissenschaftliche Wochenschrift.“ Kierunek burzy pozostaje zwykle niezmienny przez spotkanie na drodze swojej wielkiej rzeki, ale ogólnie znaczniejsze wodocięki stawiają pewną tamę pochodowi burz przez przeciąg powietrza, który panuje zwykle nad większemi zbiorowiskami wody. Doświadczenia czynionem po nad Łabą wykazały, że burza rzadko kiedy przez rzekę przeciąga i zatrzymywac się zdaje na jej brzegu. Gwałtowniejsze burze srożą się nieraz na obu wybrzeżach jednocześnie, ale w pewnem oddaleniu od brzegów.

— **Język Cyganów** będzie miał wkrótce naukowo opracowaną gramatykę i słownik, obejmujący przeszło 1.000 stronice *in quarto*. Autorem jest arcyksiążę Józef, który z wielkiem zamiłowaniem oddał się studjom nad mową Cyganów węgierskich.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, powołując się na poprzednie ogłoszenia i okólniki, podaje do wiadomości pp. artystów i malarzy, iż w miesiącu *Styczeniu* 1889 r. odbędzie się w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa dzieł *Sztuki malarzkiej*, a mianowicie: obrazów olejnych, akwarel, pastel, kartonów i rysunków. Nie kwalifikują się na wystawę wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem wystawy. Każdy z wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa tylko swoje dzieła; za jedno dzieło uważane będą rysunki, ujęte w jedną ramę. Dzieła nadsyłane na wystawę mają być w ramach. Na wystawę przyjmują się dzieła, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, która poprzednio nie znajdowały się, czy to na wystawie Towarzystwa, czy też na innej w Warszawie. Deklaracje przyjmowane będą do d. 15 Grudnia r. b. W deklaracji winny być wymienione: tytuł dzieła, cena, adres autora, oraz krótka wiadomość o miejscu jego urodzenia i o tem, w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła przeznaczone na wystawę winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa najpóźniej d. 31 Grudnia r. b. do godziny 6-tej wieczorem. Komitet wyznaczył dla tej wystawy trzy nagrody pieniężne: po rubli 600, 300 i 200 za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego wydawane będą Listy pochwalne.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs Alexander; oraz początek nowelli **Tyfon**.

TRESC. Pogawędka. — Franzesca, poezya, przez Dante'go. — Ze spuścizny olbrzyma (dalszy ciąg), przez Miriam'a — **Na Krasnym Dworze**, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — **W Antyllach**, podróże (dalszy ciąg), przez Quatrelles'a. — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.** — **Ogłoszenie.**

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander; oraz początek nowelli **Tyfon**. — 40 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**